Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. No. 2. Leszno, dnia 13. Lipca 1839.



Morskie oko w Tatrach, w obwodzie sandeckim.

Morskie oko.

(Koniec.)

Po $\frac{3}{8}$ milowym biegu z rybiego jeziora, czyli morskiego oka, łączy się na lewym brzegu Białka z strumieniem Rostoka, płynącym z doliny pięciu stawów, a $\frac{1}{8}$ mili poniżéj u południowéj stopy góry: Czerwona skałka, składającéj się z czerwonego gęstego wapienia, z inną małą, lewą, poboczną strugą. Występuje ona, ubiegłszy jeszcze kilkaset kroków, z gór wysokich, i wpada do Dunajca pomiędzy galicyjską wsią Dębno a węgierskiem miasteczkiem Fridmann.

Zacząwszy od morskiego oka, aż do połączenia się z strumykiem Podiepłaski, tworzą prawy brzeg doliny, w któréj Białka płynie, góra: Siedem granatów, a lewy zaś szczyt: Opalony, tak nazwany z powodu pożaru leśnego; obie góry składają się z niebiesko-szarego wapienia alpejskiego. Kształty gór granitowych, różnią się tutaj widocznie od więcéj rozpadniętych i od zwietrzenia nadpsutych gór wapiennych. Dolina prawie całkiem wypełniona jest gruzami rozlicznych formacyi górskich, które po częściéj dno takowéj chcą wyrównać, po części zaś to z lewéj, lub w większéj jeszcze ilości z prawéj strony do ścian doliny przypierają i blisko trzecią część wysokości takowych zajmują. Gdyby tych rumowisk nie było, zniknęłaby cała rozległość doliny. Woda przy znacznéj swéj spadzistości płynie rwiąco bezpośrednio koło prawego brzegu, lub też bliżéj takowego, niż lewego, przez kawały skał i powalone kłody, tworząc z szumem liczne wodospady; a podróżny, który opuści drogę, z wielką musi bacznością stąpać, aby się nie nadwerężyć przez szwank jakowy pomiędzy rumowiskiem pokrytém mchem, porostem i pnącemi się zielami górskiemi i obrośniętym krzami (*Lonicera nigra, Rubus idaeus i caesius*). Spód, naspy z rumowisk, jako też i brzegi doliny, jeśli tylko ostatnie prostopadle się nie wznoszą, okryte są lasami sosnowemi, które jednakowoż przez nieporządne wycinanie i od złomów wiatrowych wiele ucierpiały. Zacząwszy od doliny: Podiepłaski, aż do ujścia Rostoki, tworzą lewy brzeg doliny: północna ściana Opalonego, prawy zaś góra zwana: Wielki Opłaczka. Dolina powoli się rozstępuje i od 5 do 600 stóp szerokości nabywa. Bystry prąd Białki uniósł z sobą gruzy pobliskie, które tylko jeszcze koło brzegów doliny zgromadzone leżą; las staje się coraz wyższym i gęściejszym, a spadek rzeki płynącéj z szumem przez rozmaite rumowiska tuż pod samą Wielką Opłaczką w głęboko wypłukanym korycie, znacznie mniejszym. Prawy brzeg doliny sromiéj się wznosi niżeli lewy, aczkolwiek już obadwa kilka prostopadłych tarassów sosnami, równie jak parowy pokrytych tworzą.

Od wychodu z doliny pięciu stawów, aż po za ujście ostatniego strumienia po lewéj stronie wśród gór wysokich, dno doliny Białki szerokie jest od 6 do 800 stóp, prawie całkiem poziome i gęstym porostem młodych sosien i jodeł, a w niższéj części piękną łąką pokryte. Lewą ścianę doliny tworzą, jak się już wyżéj namieniło: góra Wołoszyn, a prawą zaś: Mały Opłaczka, odznaczający się swemi trzema wierzchołkami i Holitsa Wrch. Skoro się tylko przejdzie za ostatni strumień górski, występuje Czerwona Skałka, góra wapienna czerwonéj barwy, od zwietrzenia już bardzo nadpsuta, z któréj południowéj ściany przed kilku laty część odpadła w poprzek na dolinę, jak gdyby ją zamknąć chciała. Między nią a Białką ledwie tylko dla drogi, do morskiego oka wiodącéj, miejsce pozostało. Drogę tę założono dopiero roku 1811, a późniéj tak ją rozszerzono, iż po takowéj wązkiemi, małemi, lekkiemi, lecz bardzo mocnemi wózkami chłopskiemi jeździć można. Od tego to miejsca chcąc dojść do morskiego oka, potrzeba jeszcze godziny i $\frac{1}{4}$ czasu. W całéj dolinie pokryte są kamienie często bisiorem fijałkowym (*Byssus jolithus. Lin. Dematium petraeum Pers.*) mającym w żyjącym stanie czerwoną barwę i wydającym podczas wilgotnego powietrza woń specyficzną fijałkową; zasuszony nabywa popielato-szaréj barwy i niknie. Zwykle zowią w owych stronach górskich kamienie, takim bisiorem pokryte, fijołkowemi.

Na drodze do morskiego oka, zwiedza się jeszcze wprzódy zwykle dolinę pięciu stawów z najwspanialszym i najładniejszym wodospadem w całém głównem pasmie Karpat. Droga prowadzi od ujścia strumienia Rostoki do Białki, wnet do góry, wnet na dół przez lasem porosłe rumowiska i złomy wiatrowe. Po trzech-godzinnéj drodze ukazuje się już z daleka pyszny widok tego cudnie pięknego wodospadu. Anglik Browne z *Trynity College w Cambridge* zwiedzając go roku 1825 po odbytéj podróży prawie przez całą Europę i znaczną część Azyi, powiedział o tym wodospadzie: „że mógłby się liczyć do najznakomitszych w świecie, gdyby był prostopadlejszym.“ Woda rzuca się tutaj z wysokości blisko 160 stóp przez skały na dół; lecz wśród swego spadu dzieli się na dwie części, co w prawdzie nie sprawia całego skutku, lecz za to tym bardziéj zachwyca. Woda ta zbiera się z ujścia pięciu stawów i z stopniałego śniegu wyższych okolic; wszelakoż pomimo tego jest czystą i przy swéj nizkiéj temperaturze bardzo orzeźwiającą.

Trudno jest zaiste oderwać się od tak wspaniałego widoku, możnaby tu bez unudzenia całe dnie z upodobaniem przysłuchiwać się dzikim szumiącym dźwiękom tych bałwanów wodnych. Ztąd do 5. stawów jeszcze blisko 2. godzin drogi potrzeba. Dolina takowych, leżąca na przeciw doliny Tychy, przedstawia okropną puszczę, zapełnioną znakami zniszczenia i rumowisk. Leży ona nierównie wyżéj, niż dolina czarnego stawu, dla tego też góry tworząc takową, nie wznoszą

się już tak wysoko po nad płaszczyznę doliny, jak szczyty koło czarnego stawu. Do głównego grzbietu od północnéj strony, okrytego aż do połowy swéj wysokości pokładem wapienia, przypierają nowe massy wapienne, pospolicie tamże górami rybiego jeziora zwane, są one podług naszego podziału głównych Karpat, częścią Tatrów. Cała kotlina doliny pięciu stawów, bardzo mało śladów roślinności pokazuje, gdy zaś przeciwnie dolina Tychy, najbujniejszą okryta jest wegetacyą.

Zdaje się, iż niektóre kawały skał głównego grzbietu i zachodnich gór wapiennych wyższéj kotliny, niedawno dopiero się oderwały; można to łatwo wnioskować z dużych kawałów skalistych, na spadzistościach w takiéj ilości nagromadzonych, iż małego tylko pchnięcia od burzy lub bałwanów wodnych potrzebują, aby powpadać do jeziora. Miejscami po pod rumowiska i w rozpadlinach ciągną się od wierzchołków góry aż na dół smugi śniegu, rozszerzające ostre zimowe powietrze.

Cztery wyższe jeziora, leżące w małéj odległości od siebie na niezbyt wysokich stopniach, daleko są mniejsze i szerokiemi brzegami z gruzów otoczone, które na domysł wiodą, że kotliny wodne niegdyś daleko większą miały objętość i że takowe jedynie utworzyły dla jeziór dzisiejsze przedziały.

Najwyższe jezioro leży pod głównym grzbietem, jest najmniejsze, prawie całkiem okrągłe, i w lipcu jeszcze lodem pokryte, dla tego go téż Zamarzły, lub do zamarzłego zowią.

Drugie, formy owalnéj, mało co jest większe od pierwszego.

Trzecie, formy podługowatéj, prawie jednakiéj szerokości co drugie, jednakże znacznie dłuższe.

Czwarte znowu większe od poprzedzających, jest pociągłego, nierównego kształtu.

Wszystkie te jeziora, z których trzy pierwsze mniéj wyższe od drugiego mają położenie, wypuszczając wodę przez wały skaliste i rumowate, oddzielające jedno jezioro od drugiego, tworzą małe wodospady, które w ogóle mało w wodę obfitują.

Piąte jezioro wreszcie znacznéj jest wielkości, obejmując 40 morgów i 80 sążni kwadratowych, podługowato-okrągłe i leży daleko niżéj od drugich. Od północno-wschodniéj strony zamyka go gruzami pokryta skalista ściana, przez którą woda uchodząca 10 do 12 stóp szeroka, najładniejszy wodospad tworzy. Dopiero w około i pod tym wodospadem zaczyna się okolica koziodrzewiny (*Pinus Mughus* lub *Pumilio*).

Pasterze z szałasu koło trzeciego stawu, wynoszą, dla posiłku znużonego wędrowca, który się drapie po tych to górach, świeżą żentycę w małych czyściutkich czerpakach. Przebywają oni tamże z swemi owcami, kozami i rogacizną, od połowy miesiąca czerwca aż do końca sierpnia, robiąc ulubiony sér górski. Między nimi można jeszcze znaleść ślady ustaw patryarchalnych, stoją oni pod władzą najstarszego i posiadają różne stopnie w znaczeniu. *Juhas*, czyli pasterz bydła, bardziéj jest poważanym, niżeli pasterze owiec lub kóz; ma on także szczególne prawo nosić koszulę całkiem w tłustości maczaną i czarno wyglądającą, co go od gadów strzeże. I tak nawet na takich wysokościach panuje jeszcze chciwość sławy! Są oni z resztą bardzo zręczni, skaczą jako kozy przez skały i lubią muzykę. A ponieważ bardzo proste ich życie, więc téż ciało dochodzi rzadkiéj wysokości; są oni najgościnniejszymi i nie piją mocnych trunków, póki tylko z swemi trzodami na górach bawią; w innéj porze roku bardzo miernie upajających używają napojów; wielu z nich, niewidziawszy miasta za życia, umiera. Echo tutaj, równie jak wszędzie daléj pomiędzy massami granitu i wapienia, trwa dłużéj, sprawiając często powtarzający się huk, do grzmotu podobny. Droga ztąd do morskiego oka, do którego jeszcze blisko 3 godziny iść potrzeba, prowadzi przez górę Kopa zwaną; jest ona wprawdzie utrudzającą, lecz nader zajmującą. Przecudny widok przedstawia się nam ze szczytu Kopy. Oko niczém niewstrzymane sięga głęboko w Węgry; pokazuje mu się mnóstwo miast i wiosek spizkich, a z niewypowiedzianem uczuciem widzimy się z téj wysokości (6000 stóp) w bliskiem sąsiedztwie olbrzymiego Krywania, Królewskiego nosa, szczytu Lodowéj doliny, Łomnickiego i t. d. gdy niższe góry zdają się spoczywać pod nogami widza.

Przybywszy do morskiego oka, niedozwala już znużenie zbyteczne, trapiące podróżnika, czarny staw jeszcze tegoż samego dnia odwiedzić, przetoż dobrze jest przenocować tutaj, aby wytchnąć po tylu wspaniałych i wzniosłych wrażeniach, i pokrzepiwszy się, spieszyć dnia następnego dla oglądania nowych piękności natury.

Chcąc z Nowego-Sądcza dostać się do morskiego oka, jedzie się przez Łącko, gdzie się obiaduje; ztamtąd przez Tylmanowę, Krościenko, Czorsztyn do Maniowy, gdzie się nocuje, jeżeli wprzódy niechcemy poświęcić reszty dnia na zwiedzenie kąpieli w Szczawnicy. Drugiego dnia obiera się albo bliższą drogę na Harklowę i Ujbelę do Bukowiny, lub dalszą na Nowytarg, Szaflary, Biały-Dunajec i Poronin; ostatnia ta droga wprawdzie jest dalszą, ale za to lepszą. Na każden sposób wypada zanocować w Bukowinie, gdzie w nowo wybudowanym zajezdnym domu wygodnie pomieścić się można, wieczór zaś spędzić na przeglądaniu ciekawéj księgi, w któréj podróżni imiona swe zapisują, i na przygotowaniach do jutrzejszéj podróży. Według możności wyjeżdża się jeszcze przed wschodem słońca z Bukowiny, aby uzyskać nieco czasu do oglądania wszystkich miejsc pięknych; powracając jedzie się dla odmiany z Nowego-Targu przez Zaryte bardzo dobrym gościńcem, z Zarytego mamy już najpiękniejszą drogę przez Mszanę, Dobrą, Lima-



Zygmunt August.
(Z obrazu w zamku warszawsk.)

nów do Nowego-Sądcza. Cała droga nader jest malowniczą, mianowicie okolica koło Dobry i Wysokiéj góry jadąc z Limanowy do Nowego-Sądcza. Prawdziwie sztucznie na téj górze utorowana trzech-milowa droga, dozwala używać najrozmaitszych i najpiękniejszych widoków. Od Zarytego aż do Nowego-Sądcza rachują 8 mil pocztowych.

Słów kilka o życiu domowém Zygmunta Augusta i o zgonie tego monarchy.

Życie prywatne monarchy większy może wpływ na losy narodu wywiera, niż życie jego publiczne. Prawdy téj doświadczyła, niestety! Polska, pomimo tego, że władza i powaga jéj monarchów tak ograniczoną była. Słabości w domowem życiu króla chłopków, winniśmy owe roje ludu, który zaległ wszystkie zakątki dawnéj Polski, opanował wszelkie gałęzie przemysłu, niedozwolił rozwinąć się u nas trzeciemu stanowi, stanowi tworzącemu prawdziwą potęgę narodu, i skaził obyczaje krajowe nie w jednym względzie. Zygmunta starego życie i stósunki domowe rozpasały szlachtę, dały hasło do tak częstych późniéj rokoszy, kaziły włoszczyzną staropolską cnotę, siały podejrzenia, niezgodę, uczyły jak do dopięcia celu pieniądz, stopień lub trucizna, w miarę potrzeby, zarówno użyte być mogą. Życie domowe Jana Kazimierza i Jana III., rozsiało po kraju język francuzki, a z nim lekkomyślność tego narodu i wzgardę ojczystych obyczajów i rzeczy. August drugi sam oddany opilstwu i zbytkom, napełnił kraj temi występkami. Pobożność na dworze syna jego, Augusta III., natworzyła dewotek i dewotów, a co gorsza, hipokrytów i hipokrytek.

Niemniéj szkodliwy wpływ na obyczaje i losy narodu wywarło życie domowe ostatniego Jagiellończyka. Zygmunt August zmierzywszy sobie trzecią żonę swoję Katarzynę Austryaczkę, szukał w pobocznych miłostkach balsamu na rany, które mu pożycie z niemiłą sobie małżonką zadawało. Współczesny rękopism powiada, że nie tak w lata podeszły, jak raczéj roskoszami wycieńczony na siłach monarcha, nie tylko starał się usilnie o rozwód z Katarzyną Austryaczką, ale nawet zamyślał wniść natychmiast w nowe związki małżeńskie z kobietą jakąś niskiego stanu, a dla potomstwa, któreby z tego małżeństwa miał, pragnął zapewnić prawem dziedzictwa jaką prowincyą koronną w zamian za Litwę, któréj dziedzictwa zrzekł się na korzyść narodu. Gdy stany, Rzym, a nadewszystko dom rakuski tamy nieprzebyte do rozwodu stawiał, znaleźli się zaraz doradzcy, a między tymi sławny włoski herezyarcha Ochin, którzy królowi bigamią doradzali. Monarcha, nie mogący z jednéj strony rad tych słuchać, z drugiéj rozwodu dostać, wylał się odtąd całkiem na miłostki. Pierwszy wybór jego padł na jakąś Zuzannę Orłowską, nieznajomego rodu, ale nadzwyczajnie pięknéj urody, którą w domu swego faworyta Zalińskiego z Prus poznał. Przez siedm lat doznawała Orłowska względów Augusta, ale nieobdarzona

przymiotami, za pomocą których nieraz kobiety miernéj nawet urody serce i rozum wielkich ludzi krępują, wpadła w niełaskę i oddaloną została od boku króla, który ją nawet niezbyt hojnie wyposażył. Miejsce Orłowskiéj w sercu zmiennego Augusta zastąpiła wnet Zajączkowska, panna z fraucymeru królewnéj Anny. Trudna bardzo było z nią sprawa: niesłuchała żadnych próśb króla, odsełała podarunki i niewpuszczała do swojéj komnaty zakochanego Augusta. Dopiero obietnica, że król uzyskawszy rozwód z Katarzyną, podzieli z nią łoże królewskie, zmiękczyła ją i uczyniła powolną. Zygmunt August osadził ją w klasztorze sulejowskim, podejmował po królewsku i często ją odwiedzał. Ta zbyt ścisła przyjaźń z Zajączkowską, poróżniła go z siostrą, infantką Anną.

Wkrótce przecież, niestały jak motyl Zygmunt August, poniechał Zajączkowską, a rzucił się w objęcia kobiety, która umysł i wolę jego ujarzmić i wiecznie do siebie przykuć potrafiła. Kobietą tą była Barbara Giżanka. Może samo imię *Barbara*, które mu Radziwiłłownę przypominało, było dla niego talizmanem, niedozwalającym mu oderwać się od Giżanki. Barbara Giżanka urodziła się w Warszawie, gdzie ojciec jéj był radzcą. Po śmierci jego przeniosła się z matką do Krakowa, i tu, ówczesnym obyczajem oddaną została w naukę do zakonnic. Zygmunt August ujrzał ją pierwszy raz w kościele, a widok jéj takie na nim wrażenie zrobił, iż postanowił poznać ją z bliska. Użył naprzód ku temu *swoje pacholę*, Mikołaja Mniszcha, a gdy zabiegi Mniszcha opór Giżanki niweczył, przenajęto żyda, który do klasztoru z towarami i podarunkami od króla do niéj chodził. Gdy i żyd cnoty strzeżonéj pilnie od zakonnic nie mógł zachwiać, siostra starsza Giżanki, będąca za mężem w Krakowie, zjednana obietnicą i widokiem wielkich korzyści z téj intrygi miłośnéj siostry swojéj z królem, odebrała ją z klasztoru i oddała w ręce uszczęśliwionego tą zdobyczą monarchy. W rok potém powiła Giżanka Zygmuntowi Augustowi córkę. Od téj chwili stała się samowładną panią jego szkatuły, jego serca, a co gorsza dla kraju, jego woli. Z Mikołajem Mniszchem, z swoją matką i siostrą, a nawet podobno z kilku ludźmi z motłochu, szafowała łaskami królewskiemi, przedawała urzędy i godności, srebrne i złote sprzęty królewskie przenosiły się nieznacznie do jéj rąk.

Z towarzystwa Giżanki niechętnie się król odrywał do spraw publicznych. W roku 1572 udał się schorzały na sejm do Warszawy. Trudy sejmowe powiększyły chorobę i król przymuszony był leżeć w łóżku. Wtém wybuchło powietrze morowe w Warszawie i przedarło się aż do zamku królewskiego, gdzie kniaź Massalski, jeden z pokojowych pacholąt królewskich, nagle na nie umarł. Król tedy przerażony tym przypadkiem, postanowił wyjechać do Tykocina. Przed wyjazdem wezwał do siebie infantkę Annę, z którą się od dawnego już czasu był poróżnił. Czułe było zejście się jéj z bratem. Przewidując bliskie osierocenie swoje ostatnia gałązka bujnego niegdyś szczepu Jagiellonów, rzuciła się łzami zalana w objęcia dogorywającego brata; oboje przebaczyli sobie urazy, a król oddał jéj testament, postanawiając ją w nim sukcessorką generalną po sobie. Po tém widzeniu się z siostrą, puścił się Zygmunt August w podróż do Knyszyna. Wieziono go na wozie przykrytym, ciągnionym od 12 koni. W nim zawieszone było łoże, na którém leżał monarcha, kołysając się ustawicznie jak w kołysce. Giżanka bocznym traktem jechała za nim do Knyszyna. Przybył Zygmunt August do tego zamku pierwszych dni Czerwca. Tu, gdy otaczający go spostrzegli, że był bliskim zgonu, namawiali go, osobliwie biskup Krasiński, aby się wyspowiadał. Źle to przyjął król, jednakże dał się nakłonić, i opatrzony sakramentami dnia 7. Czerwca 1572 roku o godzinie 17. na całym zegarze, zawarł powieki w 53. roku życia.

Historycy nasi utrzymują, że Zygmunt August umarł zupełnie ubogim, że nawet nie było za co zwłok jego pochować. Rzecz się atoli ma inaczéj; w szkatule jego nieznaleziono wprawdzie nic, ale w sklepach knyszyńskich były skrzynie napełnione złotem, srebrem i rozmaitemi kosztownościami. „Do dworu się wszyscy panowie zjechali“, — mówi współczesny rękopism; — „do sklepów szli; skrzynkę tam odemknąwszy, należli w pierwszéj 50,000 czerwonych złotych, w drugiéj 21,000 czerwonych złotych.“

Targowa przygoda Bartosza.

(Dokończenie.)

Milcz, przeklęty gaduło! ofuknął mnie tenże, a trzymaj się dobrze, byś nie zleciał i karku nie skręcił. Alboż nie widzisz strzelca z fuzyą wynurzającego się z krzewiny. W saméj rzeczy! tegoby jeszcze potrzeba, żebym sobie miał dać wpakować nabój może poświęconych loftek dla takiego, jak ty, szubrawca! A któż ci zaręczy głuptasie, żeby się i tobie nie dostało.

Nie było co na to odpowiedzieć, choć wyznać muszę szczerze, że mi się nie bardzo spodobał ten ton pański, szafujący obficie tak pięknemi tytułami. Cóż było jednak robić. Połknąłem gorzką pigułkę, choć czułem w sobie chętkę nakręcić temu urwiszowi karku, który był w mojém ręku. Pomny jednak na moje własne dobro, spuściłem na kwintę i odezwałem się tonem pokornym. Ależ zważcie jaśnie wielmożny orle, że już moja nizka chatka znikła mi zupełnie z oczu. Gdzieżto lecicie jak oparzeni.

Tam do kata, jakimi zuch! Mówię ci po raz ostatni obwiesiu, siedź spokojnie; bo jak cię kopnę nogą, to zlecisz na łeb, i zetrzesz się na

miazgę, iż ani zjupniesz! Pomyśliłem sobie: Przeklęta gorzałko! do czegoś ty mnie przywiodła. Bartoszu! mógłeś sobie spokojnie chrapać przy piecu na ławie, a teraz jak włóczęga jaki wałęsasz się po nocy. Czy mnie licho opętało. Tu między kawkami za katy wietrzno i mglisto; a co gorsza, mój znarowiony wierzchowiec diable mi się coś rozbrykał; gdybym go się tak mocno nie trzymał, jużby mnie był podobno dawno z siebie zrzucił.

„No! cóż tam sobie pomrukujesz przebrzydły opoju!" odezwał się znowu do mnie. „Tobie dobrze siedzieć, ale mnie dźwigać takiego bałwana! już mi skrzydła mdleją; szczęściem, że oto księżyc nie daleko; musisz się na moment za róg uchwycić, aż sobie trochę wytchnę." Nie chciałem na to przystać, bo mi się wcale nie podobało, że mam dyndać i nogami w powietrzu przebierać jak wisielec; a do tego mam garścią chwytać za ten sierp błyszczący. Lecz wiele ten z siebie zrobi, co musi; albowiem dolatując właśnie do samego miesiąca, tak się gwałtownie otrząsnął, żem mimowolnie uchwycił za róg księżyca i zawisnąłem w powietrzu.

„Do szczęśliwego zobaczenia!" zarzegotał się szatańskim śmiechem mój powietrzny woźnica; „pozdrówcie odemnie waszą, jak ją zobaczycie, i powiedzcie jéj, że skoro będę miał naprawione moje różki u figury za karczmą, to was znowu spuszczę na ziemię; tymczasem możecie sobie trochę podyndać, i czekać na inną jaką okazyą."

O urwiszu, obwiesiu, cygańska duszo! żebyś z piekła nie wyjrzał; tak to umiesz zwodzić poczciwych ludzi? Naklałem mu do woli, co mi tylko ślina do gęby przyniosła, bo i nie miałem już przyczyny go ochraniać.

Gdym go tym sposobem pożegnał, obróciłem oczy moje na miesiąc, szukając zkąd jakiéj pomocy: aż tu potężne chłopisko gnój z kupy rozrzuca.

„Szczęść Boże", rzekłem, chcąc z nim zacząć rozmowę; a lubo mi ledwo odmruknął: daj Panie Boże! pytałem go się daléj: „jak się miewacie? co porabia wasza? czemuż to tak usilnie pracujecie, jak gdyby wam podstarości stał z batogiem na karku. I, dalibyście robocie pokój; proszę was oto na tabaczkę! i opowiem wam moją przygodę."

Ale ów mrukliwy gnojek, jak gdyby tego nie słyszał, nie ustając bynajmniéj w pracy, odezwał się do mnie groźnie: A ja wam mówię Bartoszu, idźcie sobie precz! nie ma tu dla was miejsca.

Poszedłbym bardzo chętnie, żebym tylko mógł, (odrzekłem jeszcze pokornie); przecie wam tu nie wiele zawadzam, gdy się troszynkę różka miesiąca czepiam.

A właśnie ja na to żadną miarą zezwolić nie mogę; miesiąc mógłby się przegibnąć na jednę stronę, tobym i ja się skulnął. Idźcie więc precz, mówię wam po raz ostatni!

Już mnie też niecierpliwość wzięła; widzę że to niepeć, i odparłem groźno: Ej co mi tam! komu się tu nie podoba, niech sobie idzie precz; ale ja się tu zostanę. — Widzisz go, jaki mi zuch! — Wiedzże miesięczny drągalu, że mnie teraz sam pan nie ma do rozkazania, a cóż dopiero taki drab i taki grześnik jak ty jesteś! Myślisz pewnie, że ja nie wiem, coś ty zać? O znam ja cię dobrze, ptaszku; i słyszałem ja nieraz od mego poczciwego tatusia, Boże świeć nad duszą jego, o twojem ukaraniu. *a*) Jeżeli więc dla przebrzydłéj chciwości, cierpisz bożą karę, nie pomnażaj przynajmniéj winy nieludzkiem twojem z bliźnim obejściem; zwłaszcza, że tu zapewne rzadko kiedy kto nadużywa twéj gościnności.

Lecz ten niegodziwy mruk od gnoju ani słowa na moję perswazyą tak gruntowną nie odpowiedział; ale podniósłszy swoje widły do góry, gruchnął z całéj siły w róg, za który się trzymałem. Róg się naturalnie ukrychnął, a ja trzymając go w ręku, chet znowu w podróż z powrotem.

Szczęśliwa droga Bartoszu! zawołał teraz niegodziwy ten człowiek; pozdrówcie swoję odemnie; a nie spieszcie się tak prędko, bo wam tchu przybraknie.

Chciałem mu należycie odpowiedzieć, bo wiecie, że nie lubię chować w kieszeń takich przekąsów; ale byłem zbyt sobą samym zajęty, przewracając się jak snop słomy, to głową, to nogami na dół. Aż wtém coś zaszumiało i zagęgało mi koło uszu. Myślę sobie, dobre spotkanie, to zapewne sznur dzikich gęsi także w podróży do cieplic. I nie omyliłem się, a stary gąsior na przodzie odezwał się do mnie: Ha Bartoszu, jak się macie? co porabia wasza i dzieci, czy wszyscy zdrowi? — Odpowiedziałem, że wszystko, chwała Bogu, zdrowe. Zagadnienie takowe nie zdziwiło mnie bynajmniéj, gdyż same dziwy działy się zemną; nie uderzyło mnie więc wcale, że gąsior tak łaskawie do mnie przemówił, zwłaszcza, żeśmy się już oddawna znali.

„A zkądto," zapytał daléj, „i dokąd tak spiesznie?"

„Lecę sobie na ziemię z miesiąca," odrzekłem, „dokąd mnie niegodziwe orlisko, pomimo méj woli zaniosło, i zacząłem mu od samego początku opowiadać, jakem trochę w szynkowni miarkę przebrał i jak mi się w głowie kręciło."

No, kiedy nie macie pilniejszego interessu, to się uchwyćcie za moję nogę; polecicie w naszéj kompanii. — Pochwyciłem go mocno za stopę i lecieliśmy razem chyżym lotem i złamanym sznurem za gąsiorem, ja i inne gęsi.

a) Wieśniacy powszechnie mniemają, że plamy na księżycu i słońcu wyobrażają chłopa i jego żonę, gnój rozrzucających, których Pan Jezus tam przeniósł, za karę, że poszli w niedzielę podczas nabożeństwa gnój rozrzucać.

Po małéj chwili zaleciało mnie coś i połechtało po nosie, jak gdyby moja stara szperkę na tygielku smażyła. Stójcie, gąsiorku! zawołałem na mego lotnego przewodnika, a wszakże to moja chałupa; pozwólcie mi na nią się spuścić.

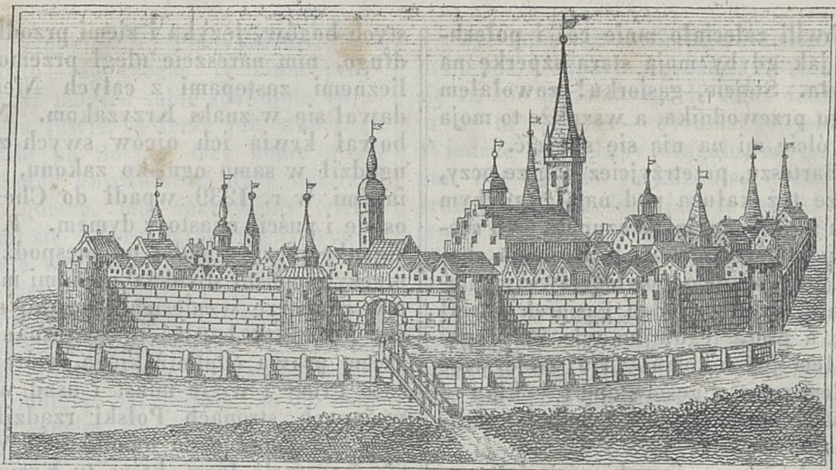
Gdzie tam Bartoszu, przetrzyjcież dobrze oczy, a zobaczycie, że tuż kałuża pod nami; gdybym was spuścił, tu pluśniecie jak szczupak. — Przecie ja to muszę lepiéj wiedzieć, gdzie moja chałupa; bo mnie już, prawdę powiedziawszy, niecierpliwość brała, że mnie jeden gąsiorek chciał rozumu uczyć; a prócz tego, już tyle razy sparzony, nie ufałem już nikomu. Nie wiele więc myślęcy, puściłem z garści gęsią stopę i — klap — plusnąłem w samę kałużę. Tą razą miał dalibóg gąsior słuszną racyą!

„A ty niegodziwy opoju, chrapisz jak zarznięty, ze łba ci się jak z komina kurzy, już słońce ma się ku południowi, a ty jeszcze od wczoraj pod płotem kiermaszujesz! Koniska same się przywlekły; półkoszki, drabki od woza pogubiły; dziś pogoda piękna, czas wyjść z kosą w pole, a ty zalawszy pałę gorzałką, w najlepszą chrapisz. O! bodaj przepadło przeklęte gorzałczysko! tyle razy ci mówiłam, że nas zgubisz twem opilstwem; a ty jakbyś się na własną ruinę uwziął, nie opuścisz i jednego poniedziałku, żebyś się nie upił, iż nie wiesz i o bożym świecie.“

Poznałem zaraz przenikliwy głosek méj Marysi, a przetarłszy oczy, przekonałem się, że nie leżę w kałuży, lecz że moja powracając z konewką wody od stoku i widząc mnie leżącego pod płotem, sprawiła mi tę orzeźwiającą kąpiel. Nie odrzekłem tą razą i słowa, lecz jak zmyty wcisnąwszy czapkę na uszy, poszedłem naklepać kosę. *R.*

Chełmno w 17. wieku.

Z opisem każdego niemal miasta naszego wiążą się drogie nam wspomnienia historyczne. Mało zaś które miasto ma ich więcéj jak Chełmno w Prusach zachodnich. Niedaleko miejsca, na którem dziś Chełmno stoi, znajdowała się już w 12. wieku osada lechicka, wystawiona często na napady pruskich pogan. Konrad, xiążę mazowiecki, dla zasłonienia swojéj dzielnicy od spustoszeń tego barbarzyńskiego narodu, sprowadził z Niemiec kawalerów P. Maryi i nadał im ziemię chełmińską pod pewnemi warunkami, których wyszczególnienie, jako nienależące do naszego celu, opuszczamy. Kawalerowie Panny Maryi objąwszy tę ziemię w posiadłość, założyli stolicę W. mistrza w Chełmnie; a chcąc miasto ochronić od częstych powodzi Wisły, na które wystawione było, przenieśli je opodal na wzgórek (1232 r.). Wielki mistrz Herman de Salca pierwszy tu osiadł, i ztąd zaczął zakon bój krwawy z narodem, który z rozpaczą bronił najświętszych sobie rzeczy, to jest ojczystych bogów, języka i ziemi przodków; i długo, długo, nim nareszcie uległ przemocy zasilanego licznemi zastępami z całych Niemiec zakonu, dawał się w znaki Krzyżakom. Nie raz zafarbował krwią ich ojców swych ziemię, nieraz ugodził w samo ognisko zakonu, i tak między innemi w r. 1239 wpadł do Chełmna, wyciął osadę i puścił miasto z dymem. Krzyżacy chcąc się ubezpieczyć nadal od niespodzianéj napaści, otoczyli miasto dwiema rzędami mocnego muru; a w zamiarze wzniesienia swojéj stolicy, nadali mu korzystne bardzo prawo, znane pod nazwiskiem prawa chełmińskiego, którem się późniéj całe Prusy i wiele miast i osad w Mazowszu i w innych stronach Polski rządziło. Okoliczność ta, dogodne do handlu nad Wisłą położenie, nareszcie łupy, które tu Krzyżacy zewsząd zwłóczyli, sprawiły, że miasto wnet zakwitło w bogactwa, i przyjęte zostało, według świadectwa Cellaryusza, do związku miast hanzeatyckich. Wszakże gdy oręż zgubny krwiożerczego zakonu coraz bardziéj Prusaków tępił, lub ich téż ku wschodowi wpierał, Chełmno, jako leżące na samym krańcu zaborów zakonu, musiało zrzec się zaszczytu i korzyści stolicy mistrza, który odtąd do Malborga się przeniósł. Od téj chwili zaczął niknąć blask dawny Chełmna, a wojny, które niewdzięczny zakon następnie przeciw Polakom prowadził, przyspieszyły zupełny upadek tego miasta. Po bitwie pod Tannenbergiem, oblegli je Polacy, przymusili do poddania się, a złupiwszy mieszkańców, większą część miasta wraz z kościołem farnym w perzynę obrócili. Niewymowne łotrostwa zakonu, których nawet sławny historyk Voigt, acz mu bardzo sprzyjający, zataić nie może, przywiodły miasta pruskie do rozpaczy; powstały one przeciw swoim ciemiężcom i poddały się królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi. Do miast tych należało także Chełmno. Gdy się więc kroki nieprzyjacielskie rozpoczęły, oblegli je Krzyżacy w r. 1455. Doznawszy atoli dzielnego odporu z strony mieszkańców, musieli odstąpić nic nie wskórawszy. Szczęśliwsi byli Krzyżacy w roku 1457. Zdobywszy Malborg, podstąpili pod Chełmno, gdzie Morawa, Czech, przekupiony, zmówiwszy się z gminem i burmistrzem Janem Mazkau, otworzył bramy wojsku nieprzyjacielskiemu. Zajął miasto na rzecz zakonu Bernard Sonnenberg w 2000 ludzi wojska zaciężnego i zaczął natychmiast łupić bezbronnych mieszkańców. Jan Mazkau, burmistrz, upominając się o krzywdę mieszkańców, powieszony, odniósł zasłużoną nagrodę zdrajcy. Tymczasem Bernard Sonnenberg trzymał Chełmno w zaległym żołdzie, a odstąpiwszy późniéj Krzyżaków, zapewnił sobie u Kazimierza Jagiellończyka posiadanie tego miasta aż do śmierci. Po jego zgonie opanowali Krzyżacy na czas krótki Chełmno, ale musieli je wnet opuścić. W roku 1505 stało się Chełmno własnością biskupów chełmińskich



Widok Chełmna w 17. wieku.

i nieprzestało nią być aż do pierwszego rozbioru Polski. Wojna szwedzka za Jana Kazimierza zniszczyła je do szczętu, a lubo biskupi chełmińscy, a mianowicie Jan Małachowski, referendarz W. koronny, starali się całemi siłami podźwignąć je z gruzów, przecież tysiące znalazło się w tem przeszkód i Chełmno było wciąż stósem ruin, które jeszcze z każdym rokiem nieład i klęski krajowe mnożyły; wtenczas zaś, kiedy miasta nasze, jak fenixy, z popiołów swoich odradzać się zaczęły, Chełmno już nie było polskiem.

Lubo Chełmno dawało nazwisko województwu i dyecezyi, przecież nie było nigdy jego stolicą; sądy bowiem grodzkie całego województwa odprawiały się w Kowalowie, sądy ziemskie w Toruniu i Radzynie; katedra biskupia była w Chełmży. Miasto Chełmno posiadało kilka wspaniałych świątyń, mianowicie zaś kościół *farny*, kościół i klasztór franciszkański, założony 1258 roku, kościół dominikański i panien Benedyktynek. Ostatni był niezmiernie bogatym. Starowolski powiada, że między jego apparatami znajdował się ornat, cały dyamentami sadzony i złotym łańcuchem obwiedziony; miał on pochodzić z daru Magdaleny z Mortag, ksieni tego klasztoru, w 16. i 17. wieku, pamiętnej w dziejach kościoła polskiego z licznych fundacyi PP. Benedyktynek w Polsce, jakoto w Jarosławiu, Poznaniu i t. d. Missyonarzy sprowadził tu biskup Małachowski 1678 r.

Chełmno jest ojczyzną Pawła Kuszewicza, który prawo chełmińskie na język polski przełożył i w Poznaniu u Rossowskiego 1623 wytłoczył, i kilka innych dzieł napisał. Rząd pruski założył tu gimnazyum katolickie, a dawniéj korpus kadetów, którego kommendantem, w czasie kiedy Chełmno do księstwa warszawskiego należało, był Wojciech Turski, niedawno w Poznaniu zmarły, tłumacz pamiętników Szoany i logiki Kondylaka.

Motyl i strumyk.

(Improwizacya.)

Raz motyl do strumyka rzecze poufale:
»Dali Bóg przyjacielu, nie pojmuję wcale
Szczególniejszéj twéj natury;
Od poranku do poranku,
Zawsze posępny, ponury,
Mruczysz tylko bez ustanku.
Jeśli chcesz być szczęśliwym, rób tak jak ja robię;
Co chwila nowym zajęty przedmiotem,
Igram, bujam, swawolę, myśląc tylko o tém,
Jakby to krótkie życie uprzyjemnić sobie.
Mnie miejsce nie obchodzi, bracia nie obchodzą.
Bo od jednego ziemi do drugiego końca,
Wszędzie świeci promień słońca,
Wszędzie kwiatki życie słodzą. —
U mnie tu, tam, gdziekolwiek, zawsze myśl swobodna,
Na celu same roskosze;
Z każdego kwiatka wysysam potrosze,
Ale nigdy kielicha nie wychylam do dna,
Bo to wiem z ludzkich powieści,
Że na dnie gorycz się mieści.«
Skończył motyl, a strumyk tak na to odpowie:
Co ty szczęściem nazywasz, ja nieszczęściem zowię,
Bo szczęścia, ile mówią, nikt jeszcze nie poznał,
Kto na łonie roskoszy, goryczy nie doznał!
Los twój nie zazdrość wzbudza, lecz politowanie.
Sławisz mi dolę swoją, a nie pomnisz na to,
Że nim jesień nadejdzie, — nie przeminie lato,
Już po tobie wspomnienia nawet nie zostanie!
Pytałeś, czemu mruczę? Powiem ci przyczynę:
Widzisz ten gaj, istnienia mojego początek,
Wkrótce już go nie ujrzę — daleko odpłynę,
I mruczę, że rodzinny porzucam zakątek.....
Toć mnie również jak tobie od końca do końca,
Na téj obszernéj świata przestrzeni,
Tenże sam, co i tutaj świeci promień słońca,
Lecz obce łąki kwitną, obcy gaj zieleni.
Ja przynajmniéj gdy obcéj sile uledz muszę,
Gdy cichy nurt pogrążę w szumnym Oceanie,
Tą myślą koić będę stroskaną mą duszę,
Że choć nazwiska mego pamięć tu zostanie.
Wybacz więc przyjacielu, zważywszy oboje,
Wolę moję niedolę, niźli szczęście twoje. *J. G.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)